1924 r. STYCZEŃ № 2 (26).

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI



Żbik. Wł. Korsak.

Organizacja myślistwa w Polsce a Olimpjada.

(Dr. Alfredowi Sanderowi w odpowiedzi).

„Uderz w stół a nożyce się odezwą“ — to staropolskie przysłowie a jak nieraz prawdziwe! Stołem był 75 numer „Sportu“, gdzie pisząc o organizacji myślistwa w Polsce, podałem do publicznej wiadomości fakt, iż w Polsce mamy właściwie dwa Związki Myśliwych, jeden w Poznaniu „Polski Związek Myśliwych“, drugi w Warszawie „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich“. Anomalji tej nie widzimy w żadnym innym związku w Polsce (chyba, że podkładem jest polityka lub różnice narodowe). Stwierdziłem ten fakt, gdyż nie widzę przyczyny ukrywać tej bolączki naszego życia myśliwskiego, a że to nie jest z korzyścią dla naszego łowiectwa, tego mi chyba nikt nie zaprzeczy.

Na to moje stwierdzenie faktu, dr. Sander w nr. 24 „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ tak pisze:

„W numerze 75 redagowanego przez siebie we Lwowie „Sportu“ zamieścił prof. Rudolf Wacek artykuł p. t. „Organizacja myślistwa w Polsce“, w którem biada nad „typową waśnią partyjną“, powstałą jakoby stąd, że w lipcu b. r. powstał w Warszawie „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich“ mimo istniejącego od r. 1920 „Polskiego Związku Myśliwych“ w Poznaniu.

„Jakkolwiek członek Zarządu Głównego C. Zw. P. St. Ł. nie czuję się uprawnionym do polemizowania z prof. Wackiem w tym względzie czy C. Zw. P. St. Ł. należą się za taki przez prof. Wacka stwierdzony stan rzeczy, jakie zarzuty i pozostawiam to Prezydjum tegoż Związku i jego sekretarjatowi, tusząc przy tem, że te organy naczelne Związku także w nieprowadzącą do niczego, jak doświadczenie uczy, polemikę prasową wdawać się nie będą, lecz raczej podwoją usiłowania zjednoczenia naszego myślistwa w jednym obozie i pod jednym sztandarem czego pragnie niewątpliwie każdy, kto ukochał nasze łowiectwo i czego pragnie także szczerze prof. Wacek, który jednak w szlachetnej intencji służenia dobrej sprawie przeoczył, że artykułami prasowemi polemicznemi, choćbyśmy się starali o największą ich przedmiotowość, pomostu do zgody i zjednoczenia nie zbudujemy, a uczynimy to tylko wzajemną ustępliwością i wyrozumiałością“.

A więc dr. Sander przestrzega Zarząd Główny C. Zw. P. St. Ł., by się „w nieprowadzącą do niczego, jak doświadczenie uczy, polemikę prasową nie wdawał“ a sam pierwszy tę sprawę poruszył. Czyż nie lepiej było zostawić mój artykuł w „Sporcie“ (przez myśliwych nie tak bardzo czytany) bez komentarzy? *A któż jest powołany do tego, by opinję publiczną informować jeśli nie prasa?* Czyż może minąłem się z prawdą, gdy pisałem o P. Z. M. powstałym w Poznaniu w r. 1920 i o C. Zw. P. St. M. powstałym w Warszawie 1923 r.? *I pytam — poco aż dwa Związki?* Wszak dr. Sander w swym artykule pisze o „zjednoczeniu naszego myślistwa w jednym obozie i pod jednym sztandarem“. Początki tego zjednoczenia i jeden sztandar widzimy w Poznaniu już w r. 1920-tym. *Trzeba było tylko temu dopomódz, jeśli były jakie błędy w tej nowej organizacji, starać się je naprawić, statut uzupełnić, nawet siedzibę — jeśli Poznań nie odpowiadał ze względu na swe gieograf. położenie, zmienić na Warszawę — tak rzecz rozpoczętą dalej poprowadzić.* I to byłby najlepszy „pomost do zgody i zjednoczenia“ i w tem widziałbym „wzajemną ustępliwość i wyrozumiałość“. Tak mnie się zdaje; inni widocznie tworząc rzecz nową, innego byli zdania. A na to właśnie jest prasa, by zapomocą niej ważne problemy organizacji życia społecznego, ekonomicznego, sportowego i t. p. porównać przed opinją publiczną niczego nie ukrywać i prawdziwie ją informować.

Tak przedstawia się sprawa naszej organizacji myśliwskiej. Sprawę udziału naszych strzelców w Olimpjadzie w Paryżu dr. Sander tak przedstawia:

„We wspomnianym artykule prof. Wacek poruszył jednak jeszcze sprawę udziału strzelców polskich w zawodach Olimpijskich w r. 1924, a ta sprawa bez szkody dla dobra łowiectwa dopuszcza polemikę, ba, nawet jej wymaga.

Zdaje mi się, że się nie pomylę i na zarzut wpierania w kogoś obcych mu idei się nie narażę, jeżeli powiem, że z gorącego tonu, w jakim prof. Wacek, znany w Polsce propagator i orędownik sportu, tę sprawę omawia, przebija niedwuznacznie myśl, że myślistwo jest sportem i że ma z tego tytułu wobec sportu szczególne obowiązki i zobowiązania“.

Tu dr. Sander szeroko udawadnia, iż myślistwo nie jest sportem.

Czem jest myślistwo, to już dawno osądzili Anglicy, Francuzi, Niemcy i radzę dr. Sanderowi odnieść się w tej sprawie do pism myśliwskich tych narodów, a odpowiedź otrzyma. O tem dyskusja szczegółowa toczyła się na łamach „Sportu“, w tej sprawie informował się nawet, bawiący w Anglji, kpt. Baran w redakcjach i u najlepszych myśliwych i dla mnie ta sprawa więcej nie istnieje. Zostańmy więc przy swoich mniemaniach. Na jedno godzę się z dr. Sanderem, iż myślistwo ma znaczenie ekonomiczne. Tak jest. Dostarcza nam mięsa, skór, rogów, kości, ozdób i t. p. Nigdy jednak na to się nie zgodzę, iż jadąc np. w Karpaty i tam uganiając się cały dzień z psami po górach, w rezultacie mając w plecaku jednego szaraka, lub brodząc w śniegach po pas trop w trop za dzikiem, nieraz kilka godzin, by dojść do ciepłego jeszcze, ale już pustego barłogu — iż ja wówczas spełniłem zadanie ekonomiczne. *Cenię w sobie tylko myśliwego-sportsmena.*

Dr. Sander twierdzi, iż nas Olimpjada nic nie obchodzi, a jeśli Związek Związków Sportowych poruczył organizację zawodów o mistrzostwo Polski w strzelaniu P. Z. M. w Poznaniu, by wyłonić najlepszych strzelców to „możemy się tylko cieszyć, że sprawa znajduje się w dobrych rękach, a każdy

pragnący być do zawodów zakwalifikowanym, powinien poddać się odnośnym zarządzeniom P. Z. M."— a dalej pisząc o stanowisku wobec tej sprawy C. Zw. P. St. Ł. w Warszawie i Małop. Tow. Łow. we Lwowie, dr. Sander dodaje: „a które poprą najgoręcej usiłowania P. Z. M. w godnem wywiązaniu się z przyjętego na się obowiązku".

O tem „gorącem poparciu" P. Z. M. już się może przekonać. „Łowiec" bowiem ogłosił na pierwszej stronie apel do myśliwych, by składali pieniądze na . . . ołtarz św. Huberta w kościele św. Elzbiety we Lwowie! Czyż nie można było ogłosić tej zbiórki w czerwcu w 1924 r. — po Olimpjadzie? I sam dr. Sander na jednem polowaniu koło Lwowa, na którem i ja byłem, zbierał pieniądze na ten ołtarz; dałem i ja kilka groszy, lecz w tym momencie przypomniałem sobie, co w „Sporcie" pisałem, iż „jedni do Sasa, drudzy do Lasa", jedni ogłaszają odezwę w sprawie Olimpjady, drudzy znowu na ołtarz, zaprawdę iż — „pomost to do zgody i zjednoczenia", zaprawdę iż—„wzajemna to ustępliwość i wyrozumiałość, zaprawdę, iż—„usiłowania to zjednoczenia naszego myślistwa w jednym obozie i pod jednym sztandarem" zaprawdę, iż — „najgorętsze to poparcie dla P. Z. M." Smutne a jednak prawdziwe.

My ołtarza św. Huberta, choćby cały był szczerozłoty, do Paryża nie powieziemy, by go myśliwym i strzelcom całego świata pokazać; lecz nieobecność naszych mistrzów w strzelaniu wystawi nam świadectwo ubóstwa, osłabi nasze prestige narodowe i postawi nas w rzędzie Hotentotów i Buszmenów.

I dlatego do tego, według słów samego dr. Sandera „*obowiązku*, mającego wprawdzie mało co z myślistwem narodowem, *lecz dużo z chlubą naszego narodu, wspólnego*", wzywam tak Jego jak i wszystkich myśliwych i strzelców całej Polski.

Zaprawdę, że i o ołtarzu św. Huberta nie zapomnimy; narazie możemy się pomodlić, byleby szczerze, w każdym Kościele i przed każdym ołtarzem.

Dla nas hasłem obecnie może być tylko „Nie zapominajmy o Olimpjadzie"!

prof. *R. Wacek.*

Lwów, wieczór Sylwestrowy 1923/24 r.

Uwagi o projekcie Ustawy Łowieckiej

opracowanej przez Polskie Tow. Łowieckie w Warszawie.

(Dokończenie).

Do osób wyliczonych w art. 30 należy bezwarunkowo dodać: umysłowo chorych, nałogowych pijaków oraz nie mających warunków ustawowych uzyskania karty na broń. Karty te bowiem pozostaną nadal — art. 6 b).

Do punktu b) w art. 30 odnośnie do określenia, „recydywiści karani kryminalnie" zauważam, że należałoby dodać „za zbrodnie i przestępstwa z chęci zysku".

Dlaczego bowiem miałaby być odmówioną karta myśliwska temu, kto nawet kilkakrotnie był karany np. za obrazę czci, za przekroczenie przepisów o czyszczeniu kominów i t p.?

Przestępstwa te oczywiście nie mają nic z łowiectwem wspólnego.

W art. 32 należy kategorycznie postanowić, że osobom w art. 30 wymienionym „musi (ma) być karta myśl. odebraną".

Art. 33 powinien wprowadzić *obowiązek* utrzymywania bodaj jednego strażnika łowieckiego w okręgu, o ile tej funkcji nie pełni sam właściciel lub dzierżawca polowania.

Wyliczanie osób, które mogą być strażnikami uważam jako niewyczerpujące — za zbyteczne. Nie widzę nadto powodu, dlaczego służbowe karty strażnikom ma wydawać aż inspekcja łowiecka, skoro karty myśliwskie wydają starostwa.

Art. 38. Do jakiej kategorji mają należeć wróble, kawki, gawrony i mewy? Skoro mowa o innych ptakach tego gatunku — dlaczego o nich zapomniano.

Z treścią przepisów o odszkodowaniach nie mogę się w zupełności zgodzić. Jestem zdania, że odpowiedzialnym za szkody wyrządzone przez grubą zwierzynę powinien być właściciel lub dzierżawca okręgu, w obrębie którego szkoda powstała.

Jeżeliby jednak wykazanem zostało, że gruba zwierzyna ma stałą ostoję w lasach jednego z sąsiednich okręgów, wówczas za wyrządzoną szkodę winien odpowiadać także ów właściciel lub dzierżawca leśnego okręgu. Gdyby ta zasada nie została przyjętą, to musiałaby być daną właścicielowi gruntu możność samoobrony przed szkodami, np. przez uprawnienie go do zabicia grubej zwierzyny przydybanej na wyrządzaniu szkody i przywłaszczeniu jej sobie. Nie wiem dlaczego przyjęto w art. 45 jako granicę 300 m., skoro np. dziki w swych wyprawach tej miary nie trzymają się.

Brak też postanowienia, kto ma orzekać o należności i wysokości odszkodowania i czy ewentualnie w razie sporu rozstrzygnienie tegoż należy do władz administracyjnych, czy sądowych. Oszacowanie samej straty określono w art. 6 c).

Art. 49. Dochód ze zwierzyny zabitej na polowaniach administracyjnych powinien służyć w pierwszym rzędzie na pokrycie kosztów tych polowań.

Przeczytawszy art. 53 i 54 ciekawy jestem jaką to zwierzynę może sprzedawać t. zw. gospodarz okręgu łowieckiego, jeżeli nie ma to być identyczna osoba z właścicielem lub dzierżawcą okr. łow. Skąd on ma tę zwierzynę brać? Jeżeli zaś gospodarz ma być identyczny z właścicielem lub dzierżawcą, to po co wogóle wprowadzać tę nazwę. „Gospodarza" w pro-

jekcie nie obdarzono nigdzie prawem polowania, ale za to dane mu prawo sprzedawania zwierzyny i chyba uprawiania wnykarstwa (*art. 63*).

Art. 62 punkt b) stanowi: „*nie wolno* polować *na cudzym gruncie* bez pisemnego zezwolenia właściciela lub dzierżawcy polowania". Tak być nie może, gdyż ten jeden przepis zadałby łowiectwu cios śmiertelny. Ja sądzę jednak, że autor projektu chciał powiedzieć „że *w całym okręgu łowieckim* nie wolno polować bez zezwolenia", a tylko nieumiejętnie się wyraził.

Art. 65 i 78 zostały już poprzednio w „Przeglądzie Myśliwskim" szczegółowo omówione. Zauważę tylko, że art. 78 mógłby pozostać, ale jedynie w brzmieniu następującem: „Za zawodowego (nałogowego) kłusownika uważać należy tego, kto został trzykrotnie ukarany za przestępstwa z art. 75 c, 76 a, b, i. Za kłusownika bowiem może być uważany tylko ten, kto bezprawnie poluje w cudzym okręgu łowieckim i przywłaszcza (kradnie) sobie zwierzynę do kogo innego należącą

W rozdziale pod napisem „psy i koty" nałożono na myśliwych podatek od psów myśliwskich. Ja wogóle jestem zdania, że ustawa łowiecka *nie jest podatkową* i żadnemi podatkami zajmować się nie powinna. Specjalnie zaś, gdy chodzi o podatek od psów myśliwskich jestem zdania, że ustawa łowiecka powinna mieć na celu także podniesienie hodowli psów myśliwskich przez myśliwych. Celu tego jednak nie osiągnie przez okładanie myśliwych niepotrzebnym podatkiem od psów myśliwskich.

Psy myśliwskie trzymane przez niemyśliwych powinny podlegać podwójnym opłatom, gdyż wiadomą jest rzeczą, że psy takie puszczone samopas mogą wraz z kundlami wiejskiemi wyrządzać w stanie zwierzyny nieobliczalne szkody — ale to znów nie należy do ustawy łowieckiej.

Do art. 70 należy dodać, że wolno zabijać włóczące się psy, ale tylko wtedy, gdy nie są zaopatrzone w kagańce.

Art. 82. Należałoby jasno określić, czy za przestępstwa z ustawy łowieckiej mają karać sądy, czy władze administracyjne.

W końcu zauważyć muszę, że w tej samej ustawie ustawodawca powinien używać dla tych samych pojęć tych samych określeń — tego jednak nie czyni twórca projektu (n. p. „okręgi łowieckie" — „rewiry łowieckie"; okręgi połączone — złożone z działek; zwierzęta łowne—zwierzyna i t. p.) a nadto winien unikać wszelkich sprzeczności (n. p. wedle art. 6 d, zarządzenie polowania administracyjnego należy do „Rady łowieckiej" przy starostwie, a wedle art. 48 zarządzenie tego polowania należy do inspektora łow. przy województwie).

Wogóle projekt zrobił na mnie wrażenie rzeczy nie dość dbale i umiejętnie opracowanej, oraz nienależycie przemyślanej, a tem samem nie mogę mu życzyć, aby stał się kiedyś ustawą w takiej formie w jakiej go przedstawiono w Nr. 1, 2, 3. „Przeglądu Myśliwskiego" z r. 1923.

Cześć św. Hubertowi!

Kazimierz Ansion

Prezes Tow. Łowieckiego w Złoczowie.

Wiersze z przed wojny.

Dziwne są losy książek. Na usługi jednych staje odrazu do apelu cały legjon mniej lub więcej posłusznych krytyków i recenzentów, którzy dmąc w puzon reklamy robią im wśród czytającego ogółu pożądaną dla wydawcy sławę, często niezasłużoną; nad innemi przechodzi się w milczeniu do porządku, niezależnie od ich literackiej wartości, choćby nawet ta literacka wartość całkiem była niepospolita.

Bawiąc niedawno w Zakopanem, natknąłem się tam przypadkiem u znajomych na dwa tomiki poezji, które przeczytałem z największem zainteresowaniem, a które, choć wydane jeszcze przed wojną, nie zdobyły sobie łaskawych względów krytyki i utonęły skutkiem tego w niemiłosiernej zapomnienia fali. Są to utwory poetyckie Jana z Kościelca Pogorskiego [1]). Pierwszy tomik zawiera wiersze polskie i... francuskie, przeważnie erotycznej treści; drugi przynosi epicki opis polowania par force na jelenia u jednego z magnatów podolskich, opis, będący udatnem naśladowaniem łowów na niedźwiedzia w Panu Tadeuszu [2]).

[1]) Jan z Kościelca Pogorski. Wybór poezji, Tom I. Kraków, 1919. Nakład i druk Wł. L. Anczyca i Spółki.

[2]) Jan z Kościelca Pogorski „Z pod znaku św. Huberta" W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie 1911.

Rzecz jest napisana takim samym wierszem 13-zgłoskowym, jak niezrównane epos mickiewiczowskie. Autor jest zupełnym panem formy, a piękną i wytworną polszczyznę ma we krwi, więc z zadania swego, choć niełatwego, wywiązał się doskonale. Wystarczy przytoczyć kilka urywków z tego barwnego i plastycznego opisu, żeby o artystycznych walorach całości dać przybliżone wyobrażenie:

Tego dnia miał być jeleń.. Więc od rana trąby
Grzmiały już przed pałacem. Na wzorzyste klomby,
Różnobarwnego kwiecia, na gazon zielony
Szły w srebrzystych kaskadach rzeźwe, dźwięczne tony
Porannego apelu.
Goście przebudzeni
Otwierali szeroko na słońce jesieni
Duże okna, wdychając powietrze, co z rana,
O tej porze, jest jako ambrozja rozlana
W eterze. W niem się łączy zapach spadłych liści
Z tchem wiatru stepowego, co powietrze czyści
Od pyłu i czasami mgłą pola wilgotni.
(Psy wtedy raźnie idą i gonią ochotniej)
Więc kiedy dźwięk ostatni drżąc łagodniej, cieniej,
Rozpłynął się na kwiatach, trębacze w czerwieni
Szli ciężkiemi butami stąpając po piasku
Ku stajniom. Słońce czasem zagasło w rozblasku
Srebrnych trąb, co im z ramion szerokich zwisały.

Po śniadaniu, do którego wszyscy uczestnicy polowania, zarówno panowie, jak panie, zjawili się już

w strojach myśliwskich, panie w amazonkach, panowie w czerwonych surdutach, zagrały trąby na wsiadanie, poczem całe towarzystwo znalazło się na dziedzińcu pałacowym.

Tam wodzono wkoło
Posiodłane już konie; psy kręcąc wesoło
Ogonami już stały w pośrodku; *huntsmany*
Strojni w surdut czerwony złotem okładany
Czekali pod dowództwem starszego *piqueura*
(Z za pasa mu kordelas stalowy wyzierał
Dla dobijania zwierza), by się orszak złożył.
Dziedziniec zawrzał cały ruchem, jakby ożył.
Goście wsiadać zaczęli: błyszczące ich buty,
Ze złotemi guzami czerwone surduty
Śmiały się po podwórzu plamami jasnemi
W słońcu; nagle trąb łoskot zahuczał nad niemi
I trzykroć okrążywszy dziedziniec dokoła
Jechali długo parkiem...
Kwiaty, trawy, zioła
Jeszcze cudne..
W lekkim wietrze
Kołysało się ciche łagodne powietrze
Nad zieloną dębiną, kędy orszak zmierza..

W końcu wypuszczono jelenia.

Wybiegł. Ani go trawy nie skusiła zieleń,
Ani z liści posłanie: rozejrzał się wkoło,
Wzniósł dumnie strojne w rogi rozłożyste czoło
I pomknął między dęby; wkrótce zniknął z oczu..
Śledząc bacznie, jak ginął w zielonem omroczu
Jeźdźcy na niespokojnych koniach długo stali
Aż się zwierz dostatecznie od lasu oddali...

Aż wreszcie klasnęły harapy...

Jeszcze chwila... Wtem sfory zawrzasły! Nad jary
Zagrzmiał dźwięk dobrze znanej myśliwskiej fanfary
I odbity od dębów tysiąckrotnem echem.
Drżąc skargą, dzwoniąc groźbą i chichocząc śmiechem,
Porwał za sobą wszystko: jeźdźców, psy i konie!
W sercach ludzi i zwierząt ten sam zapał płonie!
Jako biało-brunatne, długie ziarna bobu,
Które ręka siewacza wyrzuci z zasobu,
Tak się psy rozsypały gwałtownie wśród lasu...
. . . .
I zaczęły się owe cudne rozhowory
Psiarni z lasem, o których pan Ostroróg pisze,
Że się w nich dusza jako w Edenie kołysze
I że milsze są, kiedy zagrają przez gaje,
Niźli arfy, cytary, niźli szałamaje!
I dzisiaj ucho jeźdźca cieszą te hałasy.
Psy grają jak orkiestra: jedne niby basy
Poszczekując w takt gonią ciężko lecz wytrwale,
Inne, cieńsze, jak alty, biorą wyższą skalę
Środek jako skrzypcowy zespół w akord zgrany,
Chórem trop oszczekując, pędząc przez polany,
A zaś czasem na boku jakaś mniejsza psina
Za świeżym śladem piśnie niby pikolina!

Tymczasem

Konie poszły jak wicher. Ciągłym psów hałasem
Zagrzewane jak sarny pomykają lasem..
. . . .
Tego dnia jeleń krótko kręcił się po lesie;
Usłyszawszy, że za nim psiarnia tuż, tuż, rwie się,
Tęgim susem dwa duże przesadziwszy rowy,
Na szeroki pól przestwór wyskoczył z dąbrowy.
Przed nim jak okiem zajrzeć legły świeże role;
Więc czując, że do walki tam trudniejsze pole,
Skręcił zaraz za lasem i puścił się miedzą.

Psy i myśliwi za nim, aż wreszcie jeleń ratując się przed ich zażartym pościgiem, skoczył w staw i puścił się wpław.

Ża nim psy, już rozżarte długością gonitwy
Buchnęły w nurt.. Nad stawem wzbiły się rybitwy
I lecąc wkrąg żałośnie jęczały nad falą.
Psy to się zbliżą nieco, to się znów oddalą,
Płynąc wciąż, zadyszane, skomlące, zziajane..

Przepłynąwszy przez cały staw, jeleń wyskoczył na brzeg, ostatnim wysiłkiem pomykając na ścierniska.

W końcu czując, że w polu nigdzie się nie schroni,
Rzucił się ku wsi, która nad zwierciadłem wody,
Rozłożyła długiemi pasmami ogrody,
Gdzie chłopi sadzą kartofle, kapustę;
Dziś już wszystko zebrane, więc ogrody puste
I roślinność tam żadna nie hamuje biegu.
Pasąca się spokojnie na zielonym brzegu
Trzoda bydła, zoczywszy orszak rozpędzony,
Wystraszona psim gwarem, zadarłszy ogony
Puściła się, w ucieczce wznosząc pyłu chmurę...
Jeleń już sił ostatkiem wyskoczył na górę
I zbiegał w dół, ku rzece, chwiejąc się na nogach,
Za nim konie już wszystkie prawie szły w ostrogach
Zlane potem.
Nad rzeczką wysiłkiem rozpaczy
Chciał skoczyć, lecz zagrzane krzykiem dojeżdżaczy
Psy doszły go przed rowem: już Charmeur go chwyta,
Już ciągnie go za uda zajadła Pepita;
Jeszcze raz korpus w górę wyrzucił z boku
Żgnięty nożem piqueura runął do potoku...
Chwilę jeszcze rogami rwał nadwodne pleśnie,
Dużem, mgłą zaszłem okiem spoglądał boleśnie
Na psy: potem nogami uderzył powietrze
I zesztywniał..
Zagrały tedy w szumnym wietrze
Trąby. Płynął dźwięk srebrny na pola, na łany,
Dając znak wszystkim wkoło, że zwierz sforsowany!

Takie to bywały łowy na naszych kresach w owe przedwojenne lata, kiedy wielcy panowie polscy, wolni od trosk wszelakich, prowadzili w tej ziemi mlekiem i miodem płynącej, w swych przepysznych rezydencjach, wyrafinowane życie lordów angielskich i kiedy nikomu wówczas nie śniło się o bolszewickich czrezwyczajkach. Dziś to bujne i przesiąkłe kulturą Zachodu życie należy już do przeszłości: ze świetnych pałaców, doszczętnie obrabowanych przez zbolszewiczałe chłopstwo, zostały ruiny i zgliszcza, a na tych samych dziedzińcach, na których rozlegały się pobudzające apele srebrnych trąb łowieckich, dziś słychać rotowy ogień karabinów przy rozstrzeliwaniu niewinnych ofiar. *Tempora mutantur...*

Ferdynand Hoesick

O oszczędzaniu zajęczyc na nagankach.

Każdy dbały hodowca otacza szczególniejszą opieką, przedewszystkiem zwierzynę żeńskiego rodzaju wiedząc dobrze, że najczęściej, (zwłaszcza wśród drobniejszej zwierzyny), męski rodzaj w znacznej liczbie przeważa. Powtóre zaś z tego względu, że jeden samiec zdolny jest zapłodnić kilka samic. Już ustawy krajowe zabezpieczają specjalną ochronę samicom pewnych gatunków zwierzyny, (których rodzaj na zewnątrz można rozpoznać), przez cały rok, lub przynajmniej przez większą jego część. Hodowca jednak może i powinien iść jeszcze dalej i otoczyć (wedle możności) swoją opieką także i tę żeńską zwierzynę, dla której podczas polowania nie przepisuje prawo żadnej specjalnej ochrony. I tak naprzykład oszczędza prawidłowy myśliwy bażancice i kwaki, czyli żeńskiego rodzaju kaczki. Dalej, ku końcowi polowania na kuropatwy, wyszukuje sobie w pierwszym rzędzie już tylko koguty, które stara się rozpoznać po podkowie lub po odgłosie lotu. A następnie stara się także i o to, ażeby zajęczyce o ile możności pozostawić przy życiu, godząc jedynie w męskie szaraki. Lecz podczas gdy na szukanego lub na stanowisku ma się niektóre dane do rozpoznania rodzaju zająca, na nagankach w polu, a szczególnie przy kociołkach, jest to prawie zupełnie wyklu czone. Tutaj już nie można według oka wnioskować o rodzaju szaraka, trzeba raczej spuścić się w tem na inne wskazówki, jakie padaje nam dłuższe doświadczenie. I tak najlepiej jeszcze można na polowaniu przeprowadzić zasadę oszczędzania kocic, jeżeli naganka pędzi zwierzynę na linję strzelców, przyczem uwzględnić należy następujące okoliczności:

Do polowania wybiera się o ile możności pogodny, słoneczny dzień ku końcowi jesieni lub w początkach zimy. Lekki przymrozek nie zaszkodzi. Przy takim stanie pogody dotrzymują jak wiadomo zajęczyce znacznie lepiej, aniżeli gachy, i to właśnie oszczędzanie kocic w znacznej mierze ułatwia. Ponieważ nie ruszają się one często z miejsca, aż dopiero, gdy naganka bardzo blizko podejdzie, dużo z nich ma ten zwyczaj, że ze strachu dają się zaskoczyć przykucnąwszy do ziemi, lub też uciekają nie prosto naprzód tylko odwrotnie, starając się przedostać przez linję naganki. Po takiem zachowaniu się zajęczyce najlepiej można rozpoznać. Nie należy zatem przeplatać naganki strzelcami, a dobrze jest także, jeżeli i boki wcale lub słabo obstawi się strzelcami, aby zajęczycom, które tutaj na flankach ucieczką salwować się pragną, dać też ku temu więcej sposobności. W licznie obsadzonych rewirach zajęczych strzelcy i tak już będą mieli dosyć roboty na linji, gdyż same szaraki uciekają prawie zawsze prosto naprzód.

Przy kociołkach jest systematyczne oszczędzanie kocic znacznie utrudnione już z tego względu, iż ścieśniające się coraz więcej koło zniewala bezwiednie ostrzeliwanie w równej mierze tak męskiego jak i żeńskiego rodzaju zajęcy. Można jednak i tutaj ułatwić zadanie oszczędzania samic, polując w dniu pogodnym i nie ścieśniając zanadto szeregu naganiaczy, lub zakładając obszerniejsze koła tak, że dotrzymujące dobrze zajęczyce mogą przedrzeć się przez linję nie będąc ostrzeliwane. Wobec tego zaleca się bardzo zakaz strzelania po za kołem. Pewniejszą jednak jest metoda, jeżeli w większem łowisku pewien zającami dobrze obsadzony kompleks pozostawi się dla ochrony nieopolowany, a pragnąc męski rodzaj szaraka trochę przetrzebić, urządzić można małe pędzenie na linję strzelców, co jak wyżej wykazałem największą jeszcze daje możność oszczędzania zajęczyc.

W tym celu i do naganki w lesie najlepiej wybrać sobie dzień pogodny o łagodnej temperaturze, bo podczas mrozu hałas naganki o wiele jest donośniejszy, tak, że z natury już płoche zające, bez różnicy płci zrywają się na dystans daleki i zarówno na strzał przychodzą. Przy łagodnem powietrzu natomiast, jak już wspomniałem, można dotrzymującym dobrze zajęczycom dać sposobność ucieczki.

Polując z naganką w lesie zaleca się również, aby nie obsadzać strzelcami linji odwrotu, ponieważ zające, które się wracają, prawie zawsze żeńskiego są rodzaju. A skoro uczestnikami polowania są sami prawidłowi myśliwi, można iść dalej, stawiając mianowicie warunek żeby nie ostrzeliwać tych zajęcy, które na zrębie lasu zawracają, zamiast dukt przeskoczyć lub wybiedz na otwarte pole, ponieważ zwykły to czynić wyłącznie zajęczyce.

Większa część naszych rewirów zajęczych cierpi z punktu widzenia hodowli i rozpłodu na znaczną przewagę męskiego rodzaju. Podczas parkotów dokucza przeważająca liczba gachów tym kilku samiczkom do tego stopnia, że te ostatnie zapadają nieraz w choroby płciowe. Przypatrując się na wiosnę nieraz czterem lub pięciu gachom, goniącym za kocicą, dziwić się nie można iż niejedną, zwłaszcza kiedy jest zapłodniona lub kiedy dopiero co wydała na świat młode, nie pozostawiona przez pożądliwych samców w spokoju, na śmierć zamęczoną zostaje. Że stan taki dla łowisk naszych nie jest pożądany i na dobre wyjść nie może, to widoczne, dlatego też każdy hodowca powinien starać się, o ile to jest w jego mocy, o uregulowanie stosunku płciowego także i w pośród zajęcy.

Radegast.

O WYŻLE I JEGO UKŁADANIU.

(Ciąg dalszy).

Zupełnie inny, a dość interesujący przebieg edukacji miałem z pointerką, czystą angielką z bajecznemi rodowodami. Urodzona w psiarni jednego ze sławniejszych hodowców, po psach importowanych z Anglji, suka ta przechodziła dziwne koleje życia. W psiarni tej była do $1^1/_2$ roku życia, odebrała nawet początkującą edukację, przerwaną chorobą właściciela. Choroba ciągnęła się długo, wreszcie przyszła śmierć; pozostała żona z dziećmi i zgrają psów. Panie wyprowadziły się do Warszawy, psy porozdarowywały, jedną zaś sukę, najładniejszą, tymczasowo oddały pod opiekę sąsiedniemu koloniście. Człowiek ten praktyczny, używał ją do pasania owiec, gdy zaś przyszła zima zawiadomił właścicielkę, że sam niema co jeść, a tem bardziej co psu dawać. Suka przyjechała do Warszawy, a że w kamienicy nie można jej było trzymać, została oddana za opłatą stróżowi podmiejskiej willi. Jak ją tam żywili można sobie wystawić, w dodatku miała szczeniaka, dość że gdy przyjechałem ją zobaczyć, nie miała na sobie ani atomu mięsa, nawet ogon, zwykle równy, wyglądał jak walec pierścieniowy; każdy kręg sterczał osobno. Moja propozycja kupna była przyjęta z radością. Bez próby (było to zimą) na podstawie rodowodów kupiłem ją i przywiozłem do domu. Żona odrazu mi wyprawiła owację: „Co mi tu zwozisz jakieś zdechlaki, toż to nie pożyje i 3 dni. Pod płotem ją chyba gdzie znalazłeś“ (jakby to pod płotem bywały takie śliczności). Ale suka nie zdechła i w miesiąc przyszła tak do siebie, że aż miło było spojrzeć na jej kształty, a że przodków jej z rodowodu poznałem dużo więcej pokoleń niż swych własnych, więc sąsiedzi zazdrościli mi jej na potęgę.

Po odkarmieniu wziąłem się za naukę. Z poprzednich zabytków umiała tylko siadać, o aportowaniu nie miała pojęcia, co zaś do warowania, to za najmniejszem podniesieniem głosu uciekała pod łóżka, tak była nerwowa, nie można było nietylko uderzyć, ale krzyknąć, ruszyć krzesłem—zaraz z piskiem uciekała. Ze świętą, jak to mówią, cierpliwością wziąłem się do nauki; pomału, głównie zachęcając jedzeniem, w ciągu 2 miesięcy nauczyłem ją doskonale aportować — nawet żelazo (miała wtedy już około 3 lat), z szukaniem i warowaniem poszło łatwiej. Najtrudniej było ze skakaniem. Przez położone pudełko od strzelby w drzwiach bała się przeskoczyć, choć na drugiej stronie stała miska z jedzeniem. Namawianie, wołanie, nic nie pomagało. Kręciła się i piszczała w niebogłosy. Musiałem jej przednie nogi przestawić na drugą stronę, poczem po dłuższem jeszcze wahaniu się — przeszła. Potem stopniowo doszedłem do przeszło 2 łokci wysokości, które brała z amatorstwem.

Nigdy nie zapomnę pierwszego wyjścia z nią ze strzelbą. Przechodziliśmy przez podwórze. Owce szły do wody. Zobaczywszy je zupełnie prawidłowo obiegła je wkoło, szczekając zbiła w gromadę i stanęła z drugiej strony, czekając na dalsze rozkazy. Owczarz osłupiał, ja zaś wtedy się śmiałem, a osłupiałem w 5 minut później. Wyszliśmy na drogę, nadleciała wrona. Strzeliłem do niej w górę, wtem słyszę straszny skowyt, odwracam się, a tu moja suczka ucieka w stronę domu. Gonię, wołam, gdzie tam, wpadła w podwórze, jak kamień w wodę. Ze dwie godziny jej szukałem, zanim ją odnalazłem w stodole, zagrzebaną w sianie. Za nic nie chciała wyjść, dopiero na sznurku ją wyprowadziłem; w domu wpadła pod łóżko i, dygocząc, przesiedziała tam do wieczora.

Na drugi dzień na sam widok strzelby umknęła znowu. Wziąłem ją na linkę, strzelbę na ramię i poszliśmy w pole, udając po drodze samochód; co ja parę kroków naprzód, to ona parę kroków wtył. O strzelaniu mowy nie było. Tylko przyłożyć broń do ramienia, suka piszczy jak opętana i szarpie w tył. Ogarnęła mię czarna melancholja; tyle pracy na nic. Przewertowałem wszystkie roczniki Łowca, kalendarze myśliwskie i tylko w jednym numerze odnalazłem artykuł o podobnej nerwowości, że ktoś uwiązał psa i przez szereg dni nie dawał mu jeść, poczem strzelał mu nad uchem przynosząc strawę, a pies z głodu pomimo strzałów wreszcie przychodził do miski. Sposób może i dobry, ale mi się jakoś nie podobał. Wpadłem na inny pomysł. Kupiłem od chłopaków kilka gołębi, poucinałem im pióra ze skrzydeł i wziąłem je w pole. Sukę uwiązałem u drzewa, sam zaś odszedłem kilkadziesiąt kroków, aby jej zbytnio nie przerażać i puściłem gołębie na ziemię. Suka z zaciekawieniem przyglądała się uciekającemu na piechotę ptakowi, jednak po strzale (z $\frac{1}{2}$ miarki prochu) uciekła za drzewo i, piszcząc szarpała łańcuch. Zostawiłem strzelbę, podszedłem do niej i, głaszcząc i namawiając, doprowadziłem do gołębia. Suka, zawietrzywszy farbę dość energicznie rzuciła się i wzięła w pysk, okazując ochotę do zemknięcia z łupem. Przyciągnąłem ją łagodnie, odebrałem ptaka, ugłaskałem, i odprowadziłem do drzewa. Potem operacja z drugim i t. d. Przy czwartym już nie piszczała i choć ostrożnie, lecz z zaciekawieniem wyjrzała z za drzewa, co się z gołębiem stało. Tak polowałem trzy dni, na czwarty zaryzykowałem nie wiązać. Odskoczyła po strzale, ale zaraz wróciła po gołębia i przyniosła. A potem chodziliśmy na czajki, potem na turkawki, jednak z domu trzeba ją było wyprowadzać na sznurku, bo na widok strzelby uciekała po dziurach, w polu jakoś dotrzymywała. Aż przyszło polowanie na kuropatwy. Na pierwsze stado wpadła bez żadnego znaku na owsisku. Strzeliłem daleko i obciąłem jednej skrzydło. Doprowadziłem sukę w to miejsce i kazałem podać. Miała trochę roboty ze złapaniem, ale przyniosła dobrze. Od tego czasu pasja myśliwska w niej stłumiła obawę strzału. Odnalazłem wkrótce stado i rozbiłem je na łące. Młódki mało ciekły, dotrzymywały dobrze, suka szybko zrozumiała o co chodzi i po zabiciu jeszcze jednej, wystawiła nieźle. Zabiłem wtedy jedenaście. Po paru polowaniach wyrobiła się na bardzo dobrego wyżła

a pod koniec sezonu była znakomitą, wystawiała i wyprowadzała na ogromne odległości. Zająca pierwszego pogoniła i wtedy raz w życiu odemnie dostała wały, poczem do zająca odwracała się tyłem ze wstrętem. Suki tej nie mogę odżałować, że tak krótko ją miałem. Przyszła wojna i jakiś oficer niemiecki zmusił mnie do sprzedania za marne pieniądze, grożąc, że w przeciwnym razie zabierze mi ją siłą.

Henryk Rudzki.

(*Dok. nast.*).

Na Dalekim Wschodzie.

II.

Wreszcie wszystkie przygotowania do wyprawy zostały ukończone. Za towarzyszy otrzymałem pp.: Ładygina, uczestnika dwóch ekspedycyj do Tybetu, doskonale władającego językiem chińskim i mongolskim, Borodawkina — kozaka akmolińskiego, dyplomenta Instytutu Wschodniego we Władywostoku, Tyczino—statystyka i prawnika, oraz tłómacza—chińczyka. Dżan-juj-chua. Zarząd kolei dał nam do dyspozycji wagon I klasy i posługacza oraz zaopatrzył w listy polecające do władz wojskowych, obowiązując je dostarczać nam koni wierzchowych i eskorty. Z „jamyniów" chińskich (urzędów prowincjonalnych) otrzymaliśmy takież listy do władz chińskich.

Wizyta nasza do „jamynia" prowincji giryńskiej w Charbinie w tej właśnie sprawie nie była pozbawiona cech pewnej uroczystości. W bramie spotkał nas urzędnik, któremu wręczyliśmy nasze karty, wydrukowane chińskim zwyczajem na czerwonym papierze. Po krótkiej chwili wrócił, prosząc nas za sobą. W dziedzińcu stał szereg żołnierzy chińskich jako warta honorowa. Na dany znak wszyscy wydali okrzyk i przykucnęli na jedno kolano, pozostając w tej pozycji, dopóki nie minęliśmy ich. U drzwi domu oczekiwał nas ze swoim sztabem prezes biura dyplomatycznego, jenerał Du, poważny z siwemi wąsami mandżur, w sobolowej czapie z pawim piórem. Nas europejczyków witał jenerał podaniem ręki, a z tłomaczem zamienił ukłon chiński, polegający na zgięciu prawej nogi i opuszczeniu ręki poniżej kolana. Po nieodzownej ceremonji przy drzwiach, kto ma wejść pierwej, wprowadzono nas do pokoju i usadzono na kanie—rodzaj przypiecka, wzdłuż jednej ze ścian, pod którym biegną rury od pieca. znajdującego się zewnątrz domu. Gościnny gospodarz częstował nas herbatą, zaparzoną w filiżankach, przykrytych spodkiem do góry, papierosem i... szampanem.

Bardziej uroczystą była rewizyta jenerała, złożona mi w kilka dni później. Jenerał przybył w palankinie, niesionym przez 8 żołnierzy, otoczony konną asystą i poprzedzany przez 4 laufrów z trzcinami w ręku — do rozpędzania tłumów.

Pierwszą wycieczką wgłąb kraju było, stosownie do planu wyprawy, zwiedzanie Gańdżura, miejscowości położonej o 150 wiorst od kolei, gdzie o tej porze odbywał się duży, doroczny jarmark mongolski na bydło i konie. Trakt na Gańdżur prowadzi od miasta mongolskiego Chajłar, położonego nad rz. Arguń. przy stacji kolejowej tegoż miana. W Chajłarze zatem należało rozstać się z wagonem i podążać dalej konno.

Listy otwarte do władz, w które byliśmy zaopatrzeni, okazały swój skutek i w pogodny, choć matowy, bez słońca, poranek z końcem września mała karawana nasza z eskortą 6 kozaków, przewodnikiem— chińczykiem i wozem na rzeczy ruszyła konno w step.

Step mongolski, w tej przynajmniej wschodniej części, zwanej Chałchą, nic niema wspólnego z naszemi bujnemi stepami Ukrainy, pokrytemi obfitą, soczystą roślinnością. Tu olbrzymie przestrzenie porasta nikła trawka, która im bardziej na zachód tem częściej ustępuje miejscu piaskom, zbałwanionym we wzgórza, lub nagim gliniastym łysinom, pokrytym wykwitem soli.

Step poprzecinany jest w pewnych kierunkach ledwie widocznemi szlakami drogi, łączącej większe osiedla, oddalone od siebie o setki kilometrów, a wijącą się linją zygzakowatą, w zależności od źródeł wody, a więc miejsc wodopoju, których każda droga w stepie musi się bezwzględnie trzymać.

Doświadczyliśmy na sobie zaraz pierwszej nocy, co znaczy zboczenie z drogi i niemożność znalezienia wody. Zbyt długi postój południowy sprawił, iż przed nocą nie dojechaliśmy do następnego wodopoju i w ciemności straciliśmy ślad drogi. Po dłuższem krążeniu trzeba się było zdecydować spędzić noc tam, gdzie ona nas zaskoczyła. Konie niepojone niepokoiły się i rżały, a myśmy musieli wyrzec się nadziei na rozgrzanie się herbatą albo przy ognisku, bo jedynym paliwem w stepie jest suchy pomiot bydlęcy „argał", a ten znaleźć można tylko w miejscach wodopoju.

W zupełnej ciemności przeto rozsiodłaliśmy konie, puściliśmy je spętane na trawę i zabraliśmy się do rozwiązywania omackiem troków. Szczęściem wśród zapasów podróżnych znalazło się kilka świec. Z pustej butelki po odbiciu dna zrobiliśmy rodzaj klosza, chroniącego świecę od wiatru, jasny jej płomyk oświecał wkrótce naszą gromadkę.

W braku ciepłej strawy wypiliśmy po szklaneczce czerwonego wina i zaczęliśmy przygotowywać się do noclegu. Nie była to zresztą operacja skomplikowana: rozłożyliśmy na ziemi gruby wojłok, na nim poduszki i kołdry podróżne, zaś jako przykrycie wspólne—dla nas czworga służył drugi wojłok z rodzaju tych, któremi mongołowie kryją swoje jurty. Żołnierze, przewodnik i woźnica poukładali się opodal koło wozu zostawiając przy koniach wartę z dwu kozaków.

Zaledwieśmy się ułożyli do snu, kiedy nagle zatętniało i z pomroków nocy wynurzyła się postać

chińczyka. Przyjezdny objął nas wzrokiem i zoczywszy przewodnika - chińczyka, zeskoczył z konia. siadł w kucki i zaczął z przewodnikiem rozmowę. Dżan, tłómacz, który przysłuchiwał się chwilę tej rozmowie, podniósł się na łokciu i rzekł tajemniczym szeptem: „To bardzo niebezpieczny człowiek!"

Nie zdawałem sobie jasno sprawy na czem owo niebezpieczeństwo polega, ale kazałem nieproszonemu gościowi się wynosić. Chińczyk siadł na konia i zginął wkrótce w ciemnościach.

Przypuszczam, że był to poprostu jeden z kupców, wracających z Gańdżuru, który, zwabiony światełkiem, połyskującym w ciemnym stepie, podjechał zobaczyć, kto to jedzie. Rozbudzona jednak wyobraźnia Dżana kazała mu utrzymywać. że był to „chunchuz", opryszek, nasłany przez bandę dla podpatrzenia, kto jedzie i czy nie dałoby się odbić koni,

Wypadek ten dał powód do rozmowy na temat napadów nocnych i Łodygin przytoczył kilka przykładów ze swej podróży po Tybecie. Tło i otoczenie naszej rozmowy: ciemna noc nad bezbrzeżnym stepem mongolskim, nasz tabor oświetlony jedyną świeczką, obecność chińczyków, wysokie figury wartujących kozaków w olbrzymich „papachach" t. j. baranicach na głowie, broń zestawiona w kozły— wszystko to nadawało jej specjalny urok i pieprzyk. Wkrótce jednak znużenie wzięło górę i zasnęliśmy przy monotonnym chrzęście i prychaniu pasących się koni.

d. c. n. *J. Gieysztor.*

RYBOŁÓWSTWO*).

Znaczenie rybołówstwa dla Polski.

I. Rybołówstwo w Polsce dzielimy na:

1) rybołówstwo morskie, wykonywane dotąd jedynie na wodach przybrzeżnych — terytorjalnych (43 kilometry kwadrat. i w zatoce Puckiej — 338 kilometry kwadratowe); ogólna ilość rybaków 1200; połów wynosi od 2 do 3 miljonów kilogr. rocznie, głównie ryby małocennej—szprot (Clupea spratus);

2) rybołówstwo śródlądowe na wodach otwartych (rzeki 65,000 klm., jeziora 250,000 hektarów), wykonywane przez 5000 przeszło rybaków; połowy wynoszą około 10 miljonów kilogramów, licząc produkcję 200,000 ha jezior po 40 klg. i produkcję wód bieżących na 2 miljony klg.

3) rybołówstwo racjonalne na wodach zamkniętych naturalnych i w sztucznych gospodarstwach stawowych: przestrzeń c/a 40,000 ha z produkcją c/a 5 miljonów klg. rocznie.

II. Ogólna produkcja ryb w Polsce wynosi c/a 20 miljonów kilogramów. Zapotrzebowanie zaś jest znacznie większe, gdyż w 1920 r. przywieziono z zagranicy 70 miljonów klg., 1921 r. — 90 miljonów, a w 1 kwartale 1923 r. 26 miljonów — przeważnie śledzi oraz białej ryby z Prus Wschodnich. Wartość przywiezionej ryby w 1 kwartale 1923 r. równa się wartości eksportu drzewa surowego w tym okresie, a dwukrotnie przewyższa wartość eksportu ropy surowej lub cukru czy też węgla.

Polska jednak posiada obszary na wschodzie, które idealnie nadają się do urządzenia przeszło 100,000 ha gospodarstw rybnych o intensywnej kulturze, pozatem dotychczasowa produkcja wód naturalnych jest rezultatem rabunkowej eksploatacji za panowania zaborców. Wobec tego Rząd dąży do systematycznego zużytkowania odłogów na gospodarstwa rybne, oraz drogą ustawowej reglamentacji rybołówstwa morskiego na wodach śródlądowych ma wywierać przemożny wpływ na ochronę gospodarstw rybnych od dalszej dewaluacji i zmuszać do racjonalnego zagospodarowania i zarybiania. W tym też celu organizuje państwowe zarybianie zagrożonych gatunków ryb: łososia (Salmo salar), siei (coreganus laveratus), sielawy (coreganus albula).

Rozwój tej akcji jest tamowany przez brak funduszów inwestacyjnych oraz brak jednolitego ustawodawstwa, ujednostajnienie którego zwleka się wobec zbyt daleko sięgających różnic prawnych.

III. Skarb posiada jako własność blisko 60,000 ha jezior i 40.000 ha jezior sztucznych, które są wydzierżawione za czynsz określony w klg. ryb. Dochód z tego źródła wynosi c/a 350,000 klg. szczupaka i karpia o niezmiennej wartości przeszło 225,000 fr. złotych, licząc przeciętnie po 0,65 franka złotego kilogram.

Dochód z zarybiania i administracji rybackiej jest preliminowany na 1924 r. blisko 35,000 franków złotych. Przy wprowadzaniu opłat za karty rybackie ten dochód zwiększy się o 10,000 fr. złotych.

Czyli aktywa gospodarki rybnej w budżecie państwowym wynoszą 260 — 270 tysięcy fr. złotych. Oprócz tego bardzo łatwo może być wprowadzona specjalna opłata na cele podniesienia rybactwa w wysokości minimalnej 1 fr. złotego od tonny importowanych ryb, co zwiększy aktywa o 100,000 franków. Ustanowienie tej opłaty jest ze wszech miar wskazane. Wówczas aktywa wyniosą 350—370 tys. fr.

Pasywa: utrzymanie zarządu rybactwa, który ma za zadanie:

1) reglamentację gospodarstwa rybnego,
2) podniesienie i rozwój produkcji ryb,
3) administrację gospodarstw rybnych Skarbu Państwa,

wynoszą w/g preliminarza na 1924 r. — 140,000 fr.

---

*) Z dniem dzisiejszym otwieramy dział rybołówstwa zgodnie z życzeniem licznych naszych czytelników. Jesteśmy w możności szczęśliwie dział ten rozpocząć świetnym artykułem p. dyr. Borowika, szefa wydziału rybołówstwa w Min. Rolnictwa, doskonałego znawcy spraw z rybactwem polskim związanych. (Przyp. Red.)

złotych. Należy mieć na widoku, że działalność Zarządu Rybactwa ma się głównie przyczynić do podniesienia wytwórczości ryb w Polsce celem wyrównania niekorzystnego bilansu handlowego w tej dziedzinie gospodarczej.

IV. Gospodarstwo rybne pojmowane jako dziedzina gospodarstwa społecznego mająca na celu produkcję ryb, jako artykułu żywnościowego, posiada więc dla Państwa Polskiego poważne znaczenie.

Należy na pierwszym miejscu zaznaczyć ten fakt, że Państwo Polskie posiadającj rozległe tereny wodne i wszelkie dane do produkowania ryb na eksport, zastało stan gospodarczy tych wód w chwili swego powstania na tak nizkim poziomie, że zamiast eksportować, musi przywozić z zagranicy dla własnej konsumcji przeszło 100 miljonów klg.

Gospodarstwo rybne ma przed sobą dzisiaj ogromnej wagi zadanie; należy zatrzymać w kraju setki miljonów franków płaconych za importowane z zagranicy ryby, należy w każdym razie wyrównać bilans płatniczy Państwa Polskiego w tej dziedzinie handlu zagranicznego. Są do tego tylko 2 drogi: po pierwsze podniesienie ogólnej produkcji krajowej, celem zmniejszenia przywozu, po drugie hodowla cennych gatunków ryb na eksport.

W każdym razie chociażby częściowe wykonywanie postawionego zadania, ma znaczenie wychodzące poza zakres interesów czysto rybackich,—posiada znaczenie ogólno-państwowe, przedewszystkiem w zakresie naprawy waluty polskiej.

Nowoczesne zasady racjonalnego eksploatowania wód rybnych zdobywają sobie powszechne uznanie, największą trudnością w natychmiastowem zastosowaniu ich jest to, że wody t. zw. otwarte t. j. większość naszych wód, łączą się ze sobą gospodarczo i objekty gospodarcze poszczególnych właścicieli nie posiadają charakteru odrębnych i samodzielnych jednostek gospodarczych.

Wskutek tego w razie poczynionych przez pojedyńczych gospodarzy inwestycji i ulepszeń na swoich terenach, korzyści tylko częściowe spływają na daną osobę, gdyż właśnie wobec wspomnianej gospodarczej łączności częściowo spływają na sąsiednie i nawet dalsze tereny.

Ta wspólność interesów wszystkich właścicieli prawa rybołówstwa na wodach otwartych szczególnie zaś w dorzeczach wielkich rzek stała się główną przyczyną dzisiejszego wyjałowienia wód, ponieważ niemożliwem było stworzyć z rozproszonych elementów jakiś związek, czy stowarzyszenie, które by na podstawie dobrowolnej umowy i zrozumienia własnych interesów zaprowadziło racjonalną eksploatację naturalnych bogactw rybnych.

Wszędzie na wodach otwartych prowadzono rybołówstwo rabunkowe, skutkiem którego jest powszechna dewastacja dawnych bogactw.

Widząc taki stan rzeczy władza państwowa we wszystkich krajach rozciąga opiekę swoją nad zagrożoną dziedziną gospodarstwa narodowego i ogranicza prawo dobrowolnego dysponowania naturalnem bogactwem, jakie posiadał ten, czy inny właściciel prawa rybołówstwa. To dążenie władzy państwowej do zachowania na przyszłość nieoględnie marnowanych przez obywateli bogactw przyrodzonych stało się podstawą ustawodawstwa rybnego, które w początkowem stadjum jest tylko zbiorem zaczątków i ograniczeń co do czasu, miejsca i sposobu łowienia ryb.

Następnym etapem rozwoju ustawodawstwa rybnego jest podyktowane wciąż tem samem dążeniem zachowanie produkcji rybnej — rozciągnięcie na właścicieli przymusu zagospodarowania wód i przymusowe łączenie ich w spółki gospodarcze.

Wreszcie ostatnim etapem działalności państwa w zakresie reglamentacji rybołówstwa jest, obok poprzednich ograniczeń, przymus zagospodarowania i czynna akcja w zakresie masowego zarybiania wód na koszt państwa.

Józef Borowik.

DZIK.

(D. c.)

II.

Był to jeden z tych poranków wczesnego lata, kiedy ziemia w pełni swego rozkwitu rwie się z umiłowaniem wielkiem ku słońcu, a słońce zbliża się ku niej z promienną wzajemnością.

W górze błękit bez chmurek, a w dole ziemia w bujnej zieleni, tchnącej świeżością barw, rosy i aromatów. Z pośród krzewów i traw wychyla się kwiecie róż, jaśminów, bławatków lub polnych dzwonków, z cienistych sadów dolatują solowe arje słowików, wilg i kukułek, a nad łanami lekko falującego żyta płyną z góry najmilsze, rozwiewne jak duch przestrzeni, tęskne i kojące skowronczane pieśni.

W podobnych chwilach młody człowiek czuje się niezwykle rzeżkim, każdy nerw jego tętni rozkoszą krzepnącej siły i szczęściem współżycia z bujną naturą, a starzec, gdy chwile owe wspomni, resztką sił odpycha śmierć i bezwładną rękę do tych ziemskich rozkoszy wyciąga.

W taki to poranek wyruszyła nasza myśliwska gromada na dzika.

Uprzednio już o wschodzie słońca gajowy Wrzosek z polowym Tomaszem otropili odyńca i zebrali potrzebne wiadomości. Dzik, podjadłszy sobie nocą w żytach i młodych owsach, przeszedł do niewielkiego, lecz gęstego zagajnika, gdzie były wilgotne dołki, zarosłe sitowiem i tam legł na dzienny spoczynek. Polowy miał dać na dzika baczenie i zajął punkt obserwacyjny w koronach starej polnej gruszy rosnącej na wzgórku, skąd widać było cały zagajnik i przyległe pola, gajowy zaś pośpieszył z raportem do dworu.

Myśliwi czekali tylko na niego.

Śniadanie połknięto z pośpiechem i nim słońce osuszyło rosy, już na drogę wysadzoną strzelistemi topolami wysunęła się z dziedzińca armja łowiecka, jakiej nawet starzy ludzie oddawna w Lubaradzu nie widzieli, a na którą teraz czworaczne baby i dzieciaki z wielkim podziwem patrzyły.

Na czele z flintą przez ramię kroczył dumnie gajowy Wrzosek, tuż za nim owczarek i stróż nocny prowadzili kilkanaście psów na sforach. Psy te, podobnie jak większość myśliwych, miały dziś po raz pierwszy w życiu spotkać się z prawdziwym dzikiem, a były to psy nie lada! Kilka mądrych owczarskich szpiców, wyręczających owczarza i jego pomocników w paszeniu owiec podczas poszukiwania ziół, plecenia kapeluszy słomkowych lub słodkiej drzemki na miedzy, oraz kilka podwórzowych kundysów zaprawionych na wypędzaniu świń z ogrodów i dzielnem tarmoszeniu im uszów. Za nimi szło gromadnie około trzydziestu wyrostków, jako obławników, zbrojnych w siekiery lub widły. Wiekszość miała prócz tego w rękach długie drewniane grabie, co wytrawnym myśliwym mogło się wy ać ciekawą zagadką, taką bowiem bronią jako żywo od początku świata nie walczono z dzikiem. Zagadkę tę jednak łatwo wyjaśniał praktyczny rozkaz dany im przez karbowego: „Po polunku ścirwa próżniaki pójdzieta grabić konicyznę!“ (koniczynę).

Poza tą wesołą i raźną gromadką piechoty jechała kawalerja: dwóch praktykantów rolnych Świderski i Wichrowski, z których pierwszy jako adjutant pułkownika przeznaczony do rozwożenia rozkazów, zbrojny był tylko we własny rewolwer, drugi zaś miał pojedynkę z długą lufą na plecach, a na myśli poważną misję służby flankowej podczas tyraljerki obławników.

Nieliczna ta kawalerja poprzedzała pojazdy myśliwskie, z nich zaś wyglądały groźne lufy strzelb. Teraz dopiero ciągnęła broń poważna, mająca odegrać w batalji na dzika rolę artylerji pozycyjnej. W szerokim wolancie, zaprzężonym czwórką cugantów, błyszczących srebrem okuć na krakowskich chomątach, jechał dziedzic, rządca i gorzelany. W następnej dużej bryce, powożonej przez forysia, siedzieli: kasjer dominjalny, pomocnik gorzelanego i praktykant od tejże specjalności, wreszcie na linijce w jednego konia jechały niższe urzędy: pisarz prowentowy, ogrodnik i maszynista, razem więc z praktykantem Wichrowskim, gajowym i polowym było dwanaście strzelb. (*D. c. n.*).

Kronika myśliwska.

Wynik polowań na terenach lasów Państwowych dzierżawionych przez Lubelskie Towarzystwo Łowieckie w Lublinie.

4 listopada *w Nadleśnictwie Chełmskim okręg Pobojowiec* na przestrzeni 865 h. w 20 strzelb ubito 11 zajęcy. *W Nadleśnictwie Porczewskim obręb Dąbniak* na przestrzeni 615 h. w 18 strzelb ubito 5 zajęcy, 2 lisy.

18 listopada *W Nadleśnictwie Lubelskim okręg Dwór Nowy* na przestrzeni 350 h. w 18 strzelb ubito 11 zajęcy. *W Nadleśnictwie Krasnystaw okręg Pawłów* na przestrzeni 1002 h. w 20 strzelb ubito 29 zajęcy i 3 lisy.

25 listopada *w Nadleśnictwie Lubelskim okręg Brzostówka* na przestrzeni 623 h. w 22 strzelby ubito 22 zające, 4 lisy. *W Nadleśnictwie Parczewskim okręg Rudków* na przestrzeni 1370 h. w 18 strzelb ubito 25 zajęcy, 2 lisy.

16 grudnia *w Nadleśnictwie Krasnymstawskim okręg Łosienne*; Łopiennik na przestrzeni 1100 h. w 19 strzelb ubito 30 zajęcy, 5 lisów i 1 rogacz.

S. A. Kucharski.

W dniu 4 grudnia na terenach dzierżawionych przez Łęczyckie kółko Myśliwych od J. W. Józefa Bogusławskiego, odbyło się polowanie na terenach folw. Podzamcze i Stara Wieś, na którym w 16 strzelb ubito 35 zajęcy.

Dnia 31 Grudnia odbyło się polowanie w Woli Gutowskiej ks. Ludwiki Czartoryskiej. Polowano w 12 strzelb. Padło 55 zajęcy. Prowadzenie polowania wzorowe. Ochrona zwierzyny świetnie prowadzona przez p. Józefa Mianowskiego. W zeszłym roku na tych samych terenach zabito 14 sztuk. Królem polowania był p. Mianowski mając 17 sztuk na rozkładzie.

J. Dylewski.

W dniu 29 Grudnia odbyło się polowanie na terenach wsi Marjopol, Rozopol i osady Dąbrowice dzierżawionych przez Ostrowskie Tow. Łowieckie przy silnym wietrze przed południem i zadymie śnieżnej po południu. W 14 strzelb zabito 37 zajęcy. Królem polowania był p. Murzynowski mając na rozkładzie 6 sztuk. Stwierdzono poprawę stanu zajęcy i kuropatw, co przypisać trzeba energji Zarządu Tow.

J. Kawczyński.

W dniu 31 Grudnia odbyło się polowanie w Chlewni (pow. błoński) u p. A. Wieniawskiego. Padło 22 zające i 2 kuropatwy. Stan kuropatw znakomity dzięki prawidłowej gospodarce i troskliwej ochronie w czasie zimy. W czasie polowania widziano kilkanaście wielkich stad.

Dnia 12 Grudnia odbyło się polowanie na terenie majątku Obozin należącego do p. Alkiewicza. W kociołkach przy odwilży w 8 strzelb ubito 2 lisy i 34 zające. Do rogaczy nie strzelano. Królem był nadl. Soboczyński mając na rozkładzie 1 lisa i 7 zajęcy.

Dnia 29 Grudnia urządził p. Tadeusz Radomski ze Starogardu, łowczy Starogardzkiego Klubu Myśliwskiego, polowanie na terenie gm. Kotyże. W kociołkach przy mroźnym wichrze w 14 strzelb zabito 52 zające. Około 100 zajęcy uszło spudłowanych lub niestrzelanych. Królem był p. Budzyński z Gdańska mając na rozkładzie 10 zajęcy.

Po spustoszeniach zrobionych przez „Grenzschutz“ widać ciągły wzrost zwierzyny dzięki troskliwości p. Radomskiego. W 1920 r. padło 7 zajęcy, w 1921 r. — 15 sztuk, w 1922 — nie polowano. Gospodarz, zamiłowany myśliwy, gorący zwolennik racjonalnego odstrzału jest duszą w starogardzkim klubie myśllwych. Wieczorem podejmował brać myśliwską w lokalach klubu. Z inicjatywy p. Radomskiego zebrano wśród uczestników polowania 12 miljonów mk. na ołtarz św. Huberta i przekazano Małop. Tow. Łowieckiemu we Lwowie.

Jan Żarnowski.

W dniu 29 listopada 1923 r. odbyło się polowanie na terenach majątku Byszwałd i Grabowo, dzierżawionych przez p. Artura Blocha z Lubawy, członka Tow. Kl. Myśl. Pogoda sprzyjająca, śniegu nie wiele. Strzelb 13., ubito 23 zajęcy. Królem polowania był p. M. Graduszewski z Złotowa, który miał 5 zajęcy na rozkładzie. Uczestników polowania podejmował p. Bloch ze staropolską gościnnością.

Dnia 2 stycznia b. r. przy zupełnie nie sprzyjającej pogodzie, mgła, wiatr i dużo śniegu odbyła się naganka na terenach należących do p. Ant. Czajkowskiego, Lubawa i gminy Tynwała, dzierżawca p. Franc. Fulermannn, członków Tow. Kl. Myśl. w Lubawie. Strzelb 18, ubito 32 zajęcy p. kupiec Aleks. Łukaszewski z Lubawy był królem polowania mając 6 zajęcy na rozkładzie p. Czajkowscy podejmowali uczestników z niezwykłą gościnnością.

Prezes Tow. Kl. Myśliwych p. Aleks. Łukaszewski z Lubawy urządził w dniu 5 stycznia b. r. polowanie na terenach dzierżawionych od gminy Lubawa i Losy. Cały dzień pogoda nie sprzyjała, mglisto, śnieżno, miejscami śnieg dosięgał 1 metr wysokości. Strzelb 15, na rozkładzie 16 zajęcy. Królem polowania był p. Tadeusz Nadolny, kupiec z Lubawy, który miał na rozkładzie 3 zające. Zauważono na terenie Losy uprawianie kłusownictwa, które tu w powiecie jeszcze nie jest wytępione. Po ukończeniu polowania zgotowali p. Lukaszewscy uczestnikom miły wieczorek, który każdemu z uczestników zostanie w długiej pamięci.

Jeden z uczestników.

W dniu 30 grudnia u. r. na terenie rządowym Leśnictwa Dzieżkowice obręb Wolski Bór dzierżawionym przez Lubelskie Towarzystwo Łowieckie odbyło się polowanie w 19 strzelb na którym ubito 42 zające i 1 lisa.

Lubelskie Towarzystwo Lowieckie składa serdeczne podziękowanie panu Nadleśniczemu inż. Radwanowi za prawdziwą opiekę nad zwierzyną, dzięki pracy którego, teren stał się jednym z najlepszych w Towarzystwie. Jedynie z racji fatalnej pogody przy której odbyło się polowanie wynik był skromny.

Porady dotyczące broni i amunicji.

Sprawa nabycia taniej i użytkowej broni.

Prawie każdy z myśliwych w roku 1914—15 na skutek działań wojennych i zajęcia przez wrogów naszej Ojczyzny, rozstawał się ze swą bronią, towarzyszką miłych przeżyć i wspomnień łowieckich.

Ci którzy zmuszeni byli przed wejściem Niemców emigrować na Wschód przeważnie zabierali broń myśliwską ze sobą, lecz okoliczności i warunki egzystencji a nieraz obawa śmierci zniewalały ich do wyzbycia się wiernej przyjaciółki.

Pozostałych w kraju spotkał los nie lepszy, gdyż na podstawie rozporządzenia okupantów należało posiadaną broń oddać w ciągu paru dni po ich wejściu do Polski.

W ogólnem zdenerwowaniu jakie zapanowało w sierpniu 1915 roku niósł każdy myśliwy co posiadał, oddając nawet bardzo drogie bronie w nadziei, że jednak może uda mu się jakim sposobem wydobyć z powrotem złożoną dubeltówkę czy sztucer.

Z miast prowincjonalnych prawie wszystką broń wywieziono do Niemiec, a jedynie w Warszawie, gdzie okupanci liczyli się początkowo trochę z opinją, złożono odebraną broń i posegregowano w warsztatach wojskowych urządzonych przy ulicy Senatorskiej w gmachu, gdzie obecnie znajduje się Ministerstwo Dóbr Państwowych i Rolnictwa.

Wkrótce potem zaczęto wydawać pozwolenia na prawo posiadania broni myśliwskiej i na polowanie.

Uszczęśliwieni posiadacze takiego pozwolenia zwracali się do owego arsenału po swoją broń, lecz, niestety, nie wszyscy ze swą własnością się spotkali.

Szczególna rzecz, że brak było przeważnie broni droższych i albo zupełnie ich nie znajdowano albo pod danym numerem był pusty futerał, albo też w futerale znajdowano zamiast oddanej broni wysokiego gatunku, jakiś grat zniszczony.

Reklamacje nie na wiele się przydały.

Ale jak wszystko na świecie przemija, tak i zawierucha wojenna minęła i każdy radby powrócić do przemiłej i zdrowej rozrywki jaką jest łowiectwo, lecz na przeszkodzie staje brak broni.

Nabyć broń w dzisiejszych czasach stanowi nieraz poważną wyrwę w budżecie przeciętnego myśliwego - inteligenta, który z racji swego obecnego uposażenia, robiąc już tem wysiłek, chciałby nabyć za stosunkowo możliwą do wydania dla siebie sumę, broń użytkową a nie tandetę.

Tem się tłómaczy szereg zapytań w danej sprawie, któremi nas zasypują nasi szanowni Czytelnicy, a jednocześnie koledzy - myśliwi i niema w tem nic dziwnego, gdyż jest to artykuł nie wszystkim dobrze znany.

Chcąc przyjść w miarę możności z pomocą potrzebującym porady redakcja „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ dawać będzie szczegółowe opisy poczynając od najtańszych gatunków broni znanych z przed wojny fabryk, ich zalety i wady.

(D. c. n.). *S. C.*

ROZMAITOŚCI.

Bezczelny rabuś.

W Uhercach Niezabitowskich (koło Gródka Jagiellońskiego) wpadł do kurnika we dworze jastrząb gołębiarz (astur palumbarius) i zaczął mordować kaczkę. Na krzyk przerażonych kur, gęsi i kaczek wybiegł z kuchni parobek i kijem ubił rabusia siedzącego na kaczce. Jest to śliczny stary okaz, którego sroga zima i głód zmusiły do takiej zapamiętałości w żądzy łupu. Tego samego dnia drugi parobek ubił tchórza widłami w stajni.

R. W.

Kuropatwy w Małopolsce Wschodniej

ulegną zupełnej zatracie w razie dalszych zawiei i mrozów. Należy natychmiast stawiać w polu ochronne krzaki i sypać poślad. Jest to obowiązkiem każdego właściciela polowania i dzierżawcy, zwłaszcza Towarzystwa i Kółka Łowieckie niech o tem pamiętają. Równie rozpaczliwe wieści nadchodzą z całego kraju. Niebezpieczeństwo dla zwierzostanu jest groźne.

Przy niniejszym numerze załącza się przekazy na P. K. O.



Pracownia wypychania ptaków i zwierząt oprawa rogów, robienie dywanów, wyprawa skór z włosem

Wiktora Łastowskiego

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście № 10

wprost Kościoła Ś-go Krzyża.



PREPARATOR

NAGRODZONY ZŁOTEMI MEDALAMI przyjmuje ptaki i zwierzęta do wypychania oraz wyprawy skór z włosem. Pragnący posiadać najlepsze i naturalne wykonanie w Warszawie, przekona się o tem:

Chmielna № 35 m. 19. BORUTTA.

NABĘDĘ

20 par kuropatw oraz bażanty w ilości 5 kogutów oraz 15 kur ewentualnie zamówię większą ilość jaj.

Wiadomość pod adresem:

ZWIERZYNIEC LUBELSKI, KAMOCKI.

LEŚNIK-STRZELEC-BAŻANTARNIK

WIELKOPOLANIN

po polsku i niemiecku mówiący, katolik, żonaty bezdzietny lat 31, dokładnie obeznany z wszelkiemi kulturami leśnemi i rybołówstwem. Dobry tępiciel drapieżników posiadający pierwszorzędne zaświadczenia, poszukuje posady od 1-go kwietnia 1924 r.

Oferty do Administracji „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".

Czytajcie

„SPORT" LWOWSKI

który posiada świetnie prowadzony dział myśliwski.

Dostawa psów myśliwskich

KLEIN—ZWINGER MAINSTRAND

właściciel Leonard Klein

w Schweinfurcie nad Menem.—Niemcy

(Firma egzystuje od r. 1895)

poleca wypróbowane psy myśliwskie: jamniki, foksterjery, spaniele ułożone i nieułożone.

Przyjmuje wszelkie zapotrzebowania.

Pierwszorzędne referencje.

Największa w Polsce KOLEKCJA MOTYLI

oceniona przed wojną na 6 tys. dolarów

DO SPRZEDANIA

za równoważnik 3 tys. dolarów płatnych w markach polskich.

Poważni reflektanci proszeni są o zgłaszanie się **piśmiennie** do Redakcji **pod „MOTYLE".**

Redaktor Naczelny: Julian Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redaktor przyjmuje od godziny 6 — 7 wieczorem w poniedziałki.

Redakcja: Szpitalna 12. **Administracja:** Szpitalna 12. **Warszawa.**

Numer pojed.—**500.000** mk. Prenumerata mies. (z odsył. do domu)— **1.000.000** mk.; Konto czekowe w P. K. O. № 7595.
Cena numeru = cenie ładunku.

Cena ogłoszeń: strona—**40 złp.**; 1/2 str.—**25 złp.**; 1/4 str. **15 złp.**; 1/8 str.—**8 złp.**; 1/16 **5 złp.**

Administracja, Szpitalna № 12. Zakłady Drukarskie „Prasa", Tamka № 46